5

kamena

ROK I
NR. 5

KAMENA

STYCZEŃ
1934

MIESIĘCZNIK

TREŚĆ NUMERU PIĄTEGO:

STANISŁAW CZERNIK — Synowie ziemi . . . str. 73
JÓZEF ŁOBODOWSKI — Noce lubelskie . . . „ 77
ZENON WAŚNIEWSKI — Sześćdziesiąt stopni . „ 80
CZESŁAW MIŁOSZ — Świty . . . . . „ 81

Kolumna najmłodszych

WACŁAW IWANIUK — Miasto w nocy . . „ 82
WACŁAW MROZOWSKI — Mowa . . . . . „ 82

Poezja serbo-łużycka

LUDOMIR RUBACH — Poezja serbo-łużycka . „ 83
JAN SKALA — Nie poddawaj się . . „ 84
JÓZEF NOWAK — Pieśń wolności . . . „ 85

Poezja rosyjska

ALEKSANDER BŁOK — Ogród słowiczy . . . „ 86
Kronika słowiańska . . . . . „ 89
Noty . . . . . „ 90
Pro urbe sua . . . . . „ 92

Wkładka linorytowa Zenona Waśniewskiego: Moja ulica

Okładka linorytowa Z. Waśniewskiego

Redaktor: Kazimierz Andrzej Jaworski — Wydawca: Zenon Waśniewski

Redaktor odpowiedzialny: Wawrzyniec Berezecki

Redakcja: Chełm Lubelski, Reformacka 43. Redaktor przyjmuje w poniedziałki od 15 do 16-ej.

Administracja: Chełm Lubelski, Reformacka 15 B.

Prenumerata roczna (10 numerów) 4 zł., półroczna (5 numerów) 2 zł. 25 gr.

Cena numeru pojedynczego 50 gr.

Tłoczono w drukarni „Kultura" w Chełmie.

STANISŁAW CZERNIK

SYNOWIE ZIEMI

Zagadnienie przenikania niektórych jednostek z t. zw. nizin społecznych do t. zw. wyższych kategoryj kulturalnych znalazło w ostatnich latach pewien charakterystyczny oddźwięk w powieści i dramacie. Możnaby to nazwać problemem Szywały-Szywalskiego ze względu na specyficzne naświetlenie zagadnienia przez autora „Niespodzianki" i „U mety" z punktu widzenia tradycyjnych wyżyn. Jest to nietylko interesujące zagadnienie typologiczne, ale również ciekawy symptomat, który posiada właściwości trochę nawet zasadniczej, mówiąc ostrożnie, sprawy społecznej. Wartoby to zjawisko skonfrontować z rzeczywistością na niektórych odcinkach naszych „wyżyn" inteligenckich, a także spojrzeć na to trochę oddołu,—czy istotnie typ pana profesora Franciszka Szywalskiego, dawniej Szywały, jest wyrazem pewnej reguły, która każe każdej Wronie przemieniać się zaraz co najmniej w Hoene-Wrońskiego, a Kotowi w Kotkowskiego, herbu Łabędź.

Na tem miejscu ograniczymy się do rozpatrzenia właściwości typologicznych i roli kulturalnej tych Szywałów z wsi chłopskiej, którzy wtargnęli do literatury i założyli własne większe lub mniejsze folwarczki tuż obok wyżynnego dworu hr. Rostworowskiego. Nie w celu wykazywania problematycznej tendencyjności autora w ułożeniu i rozwikłaniu losów Franka, bo to zapewne byłoby jedynie niesłusznem posądzeniem,—lecz w celu przeciwstawienia innego obrazu tym, którzy z koncepcji literackiej dramaturga starają się wykuć prawie dokumentalny zarzut degeneracji lub zaprzaństwa rzeczywistych Szywałów

Jeżeli mowa o t. zw pochodzeniu chłopskiem, dotyczy to—w naszym wypadku—przedewszystkiem i wyłącznie pierwszego pokolenia, które oderwało się od zajęć rolniczych, przenikając do sfer inteligenckich w miastach. Ci synowie chłopscy, którzy zazwyczaj musieli przebyć bardzo uciążliwą drogę od swych nizin społecznych do piastowanych później „godności" w świecie literackim (o tych tylko mówimy), wypełnili już dawniej kilka kart naszej literatury (Kasprowicz, Orkan). W okresie powojennym, wskutek pomyślnej początkowo konjunktury na rynku pracy inteligenckiej, dopływ ze wsi znacznie wzmógł się, by znowu opaść — jak obecnie niemal do minimum.

Pierwsze charakterystyczne zjawisko, które nasuwa się w tych rozważaniach, to najwyraźniejsza skłonność tych nowych ludzi na polu literackiem do poezji. Proza mniej ich pociąga.

Być może, ten stan rzeczy pozostaje w związku z istniejącą bądź co bądź na wsi pewną kulturą poetycką, której wyrazem jest pieśń ludowa, gawęda i przypowiastka. Z drugiej strony, poezja — jak dziś w postaci miniaturowych zestawień lirycznych prędzej prowadzi do możliwych wyników, niż skomplikowana, rozległa proza powieściowa, wymagająca długotrwałej ciągłości pracy nad jednem zagadnieniem, co—mam wrażenie — sprawia znaczną trudność tym pierwotnym jeszcze w dużym stopniu naturom.

Uderzającem zjawiskiem jest charakter tematyki u poetów tej kategorji. Jakiś rodzaj pierwotnej prawie siły mocnemi spoidłami trzyma ich, jako poetów, w ramach pierwszych wrażeń dzieciństwa, a więc w świecie chłopca wiejskiego. Główny zrąb ich myśli poetyckiej skupia się przedewszystkiem w t. zw kraju lat dziecinnych, i temi właśnie kategorjami najczęściej i najchętniej operują. Jest w tem jakby pewna nostalgja. I potężny „zew krwi" I jedno, i drugie wynika z istotnego zerwania związku z podglebiem. Powstaje potrzeba zadośćuczynienia tym kategorjom, z których poeci wyszli i w których tkwią jeszcze wszystkiemi niemal korzeniami. To też charakteryzuje ich skłonność do myślenia obrazami, które narzuciło im dzieciństwo. Weźmy przykłady. Najbardziej może znamiennych dostarcza Juljan Przyboś. Jemu właśnie, po upartej walce, kierunek powrotny do rodzinnej Gwoźnicy, do kopania ziemniaków, chodzenia boso narzucił właściwie wyzwolenie poetyckie. Dramatyczna wędrówka poety przez kraj śrub, lokomotyw, dźwigów, który programowo zmuszał się opiewać, skończyła się jednak „elegją o samym sobie"—w sposób coprawda bardzo pośredni, ale w warunkach jego doktryny poetyckiej graniczący z herezją. Inni poeci odrazu szli po tej drodze, chociaż nie bez zawikłań i kuszeń postronnych. Takim typem jest nprz. Stanisław Młodożeniec. Nikt jak on tak się nie może oderwać od „zaczarowanego kręgu" rodzinnej wioski sandomierskiej. Jego krajobraz poetycki —to szerokie łąki nad Opatówką i lasek Malicki: tam jego „ziaby", wierzby, wąwozy i gwarowe da-dana. Z młodszych poetów Marjan Czuchnowski, mimo programowej proletarjackości, w wyraźny sposób rozsadzany jest swą jaskrawą wiejskością. Ten potężny ładunek nie miał jeszcze możności odpowiedniego wyładowania się, może z powodu nieprzeżywanej w poważniejszym stopniu nostalgji, chociaż to nie może być regułą, jak nam stwierdza przykład Orkana.

Temi bynajmniej nie odosobnionemi przykładami naświetlone zagadnienie przedstawia się jakby jakieś prawo naturalne, potwierdzane nieustannie przez coraz to nowe osoby Gdy się

widzi tych Przybosiów, Młodożeńców, Czuchnowskich, Helsztyńskich, różnych Ciesielczuków, Sakłaków, Szczawiejów, Dziubanów, problem tych „nowych" ludzi, którzy stanęli „u mety", lub jakoś się do niej zbliżają po ciężkim starcie z chłopskiego podwórka, inaczej zgoła rozwiązuje się w rzeczywistości, niż problem Franka Szywały w dramacie Rostworowskiego.

Kto zna wieś chłopską nie z powierzchownych obserwacyj „letniskowych", ani nawet z wyżyn folwarku, ten wie, co te zjawiska znaczą. Stosunek chłopa do kultury inteligenckiej, miejskiej czy dworskiej, jest zupełnie odmienny, niż to sobie wyobrażają nasi rodowici inteligenci. Chłop bowiem jest zdecydowanym sceptykiem w stosunku do form miejskich. Bywa może niemi zdziwiony, ogłuszony, ale nigdy nie pozwoli się oczarować i nie potrafi uznać ich bez reszty Ta uwaga stosuje się w całej rozciągłości do pierwszego pokolenia chłopów, którzy opuścili wieś i weszli w szeregi inteligencji.

Jest to zjawisko o poważnem znaczeniu społeczno-kulturalnem, zwłaszcza w czasach obecnych, gdy podstawy inteligenckiej kultury europejskiej w widoczny sposób załamują się. Trzeba bowiem, chcąc nie chcąc, przeprowadzić rozróżnienie kultury „inteligenckiej" od kultury „proletarjackiej" (u nas właściwie ludowej wiejskiej), które pozostają ze sobą w dosyć luźnym kontakcie, rozszczepione od wieków nietylko różnicami genetycznemi. Panuje u nas powszechna, granicząca z małostkowością i obskurantyzmem, dezorjentacja, jeżeli chodzi o zagadnienia wiejskie. Zwiększają ją w niebezpieczny sposób pisarze, którzy nie wychylając się poza stolicę, piszą powieści na tematy chłopskie. Tylko najszlachetniejsze umysły i serca w naszej literaturze umiały problem chłopski uchwycić— że tak powiem — u korzenia. Może tylko Mickiewicz i Żeromski. Tym problemem „korzennym" jest idea współdziałania — szlachetnego krzyżowania się kultury inteligenckiej z kulturą ludową — słowem, „arka przymierza" Nasi poeci pochodzenia wejskiego, może nie zawsze z pełną świadomością, ale prawie zawsze z głęboką intuicją występują jako przedstawiciele odrębnej, swoistej i silnej kultury ludowej, która nie zatraca się przy bezpośredniem zetknięciu z odłamami kultury t. zw wyższej, lecz wchodzi do niej jako odświeżający dopływ Tak przynajmniej jest na odcinku poezji współczesnej. I to nie pozostaje bez znaczenia.

Następstwem poczucia własnej, silnej, docenianej wartości ludowej u poetów pochodzenia chłopskiego jest ich opór w stosunku do dotychczasowych form poetyckich, nie mówiąc już o tematyce, a skłonności i dążności do wyłamywania się,

rozbijania kanonów, nieoglądania się na innych, wreszcie świadome wytwarzanie nowych form. Stąd tak charakterystyczna u tego odłamu chropowatość, wstręt do wymuskania, pociąg do niesubordynacji w stosunku do tradycyjnej strofiki, jak to widzimy i u Kasprowicza, i u Orkana, a co bardzo silny wyraz znalazło u poetów powojennych. Zaznaczyć trzeba, że jest to kierunek zupełnie odmienny od typu ludowości, reprezentowanej przez „Czartak", mimo niektórych pozorów zewnętrznych. Są to zjawiska o różnych zasadach i wykładnikach: w pierwszym jest ludowość istotna, dopasowana do wykładnika literackiego, w drugim literackość ubrana w szaty ludowe,

W wierszach najwybitniejszych poetów omawianej tu kategorji wyróżnia się przedewszystkiem swoisty styl. Opiera się on głównie na wyrazistej dokumentalności. Są to że użyję utartego wyrażenia — małe reportaże, relacje wrażeń autentycznych lub kombinacje tych autentyków Ta właśnie dokumentalność wydaje mi się najcenniejszem obecnie zjawiskiem. Z jednej strony jako twórcza reakcja przeciw różnego rodzaju zakłamaniom, z drugiej jako konieczna, choć może skromna, podstawa do rozwoju tego, co się nazywa stylem narodowym.

Inne spostrzeżenie prowadzi nas do wniosku, że twórczość poetów „wiejskich" mało właściwie związana jest z duchem pieśni ludowej (może to reakcja przeciw szablonom literackim w tej dziedzinie). Raczej możnaby twierdzić, że inne pokłady ludowości znajdują tam wyraz. Przedewszystkiem zasługuje na uwagę wpływ gwary—bezpośredni i pośredni. Bezpośredni—polega na zwykłem wprowadzaniu słów gwarowych do wiersza, jako równouprawnionych, pośredni—na tworzeniu neologizmów Niektórzy krytycy, mało związani z życiem wsi, widzą w nowotworach fonetycznych poetów ludowych dziwolągi i pewną samowolę. Jest to najzupełniej niesłuszne. Wieś operuje jeszcze w dużym stopniu jakby prasłowiańszczyzną językową, gdzie działają jeszcze niezbadane, pierwotne reguły powstawania nowych i zanikania starych wyrażeń. W gwarze ludowej spotykamy wiele wyrazów, które wstrzymane zostały w ewolucji—jakieś połowiczne, miksantropiczne słowa, napół uznawane przez samą ludność, może echa pierwotnej aryjskości. W piasku mowy ludowej, w jej wykrętasach, odchyleniach, rozgałęzieniach, dziwactwach leży ogromne bogactwo niewykończonego materjału językowego w zakresie słownictwa. Są tam złoża o wiele bogatsze, niż o tem zdają się wiedzieć nasze, bardzo jednostronne podręczniki gwaroznawstwa. W tem miejscu zaczyna się rola poetów, oczywiście tych, którzy nie poddali się szablonowi inteligenckiego chłopomaństwa. Poeci ludowi nieraz posiadają

prawdziwy dar intuicji, rodzaj instynktu pierwotnego, umiejętność bezpośredniego, zdawałoby się wizjonerskiego podejścia do pierwocin słowotwórczych. Ich neologizmy — to nie jakieś wykoncypowane „niedoroślęta", lecz żywe, krwiste słowa, raczej wyrwane z zapomnienia, albo zbudowane według tych reguł, które samorzutnie działały przed wiekami. Pod tym względem wysiłki poetów „chłopskich" nietylko nie pozostają bez znaczenia, ale są poprostu bezkonkurencyjne.

W ten sposób wyodrębniliśmy kilka właściwości charakteryzujących dosyć wyraźnie omawiany typ poety i jego rolę. Zdecydowane skłonności w tematyce określają jego siłę i szczerość społeczną, stosunek do zagadnień formalnych — poczucie wartości własnej w zakresie artystycznym. Może nie zjawią się w tej grupie poeci wielcy—narazie nie zanosi się na to. Niemniej jednak wyraźny dopływ nowego, oryginalnego strumienia do kultury ogólnej przynosi pierwiastki cenne, można powiedzieć odmładzające.

W tem oświetleniu, rzuconem poniekąd oddołu, nie znaleźlibyśmy ani jednego punktu oparcia dla tezy o rzekomej degeneracji lub problematycznej wartości naszych Szywałów w poezji.

JÓZEF ŁOBODOWSKI

NOCE LUBELSKIE

5

(dokończenie *)

wiatr północny rozszumiały okrutnie
dął cały wieczór
na południo wschód
niebo tryskało spienionym mleczem
konie biły kopytami u wrót
na niebie trzeszczy gwiazd spalonych żużel
księżyc rozkleja plakaty wśród murów
wiatr silniej serce odurza
śpiewem nocnego chóru

porzuconemu w samotności
brakuje szerokich dróg i morza wąwozów i edlin
drzewa chłodzą smutkiem daleki tętni pościg
i zmierzch opada popiołem na dachy ludzkich osiedli

*) Części 1, 2, 3, 4 „Nocy lubelskich" zamieszczono w № 1 i 2 „Kameny"

historjo która się tworzysz
skurczami rąk i w krzyku ust wygłodniałych
historjo wymierzana tętentem
tanków i okutych nóg
zbliżają się ku miastu semaforów czerwone sygnały
i przebija mrok nocy krótkich spięć groźny huk

słyszymy te głosy przez mgłę i czkawkę pijackich wzruszeń
siadamy przy bridżowych stolikach tasujemy kolorowe talje
a za włosy nas szarpie zawzięcie spazmatyczna srebrzysta muzyka
zagłuszając dalekie odgłosy zbliżających się szybko mitraljez

tętnią słowa czerwonych neonów
więc
u l b a g a t e l a o a z a
biało ubrane stoliki łechcą oczy podchlebnie i mile
obok skromnej solniczki pelargonją zakwita wazon
spoglądają wdzięcznie z bufetu mikolasch i haberbusch schiele

więc najpierw kilka czystych
a potem wódka z vermouthem
kawa ze złotą chartreusą i koniak i znowuż wódka
spitym kompanom z ust wylatują befsztyki wyplute
i wszyscy razem przez lublin płyniemy żałośnie na łódkach

w cukierniach są inne rzeczy ciastka i różne napoje
a w środku słodko panuje potężny olbrzym bamkuchen
przy słomkach wdzięczą się kobiet ogromnie miłych roje
i senny kelner pod ścianą w kurjerek tyka paluchem

wiosną jest rewja strojów
więc cienko dziergane pończoszki
kretony torsady i rypsy veloury i crepe de chine'y
czarne woalki na profil opale i muślin w groszki
to wszystko w czem oprócz perfum
kochają się młode dziewczyny

tak się przewija przed wzrokiem rojne krakowskie przedmieście
długa i wąska gondola wsparta o mury koszar
w dniach narodowych świąt wiatr sztandarami szeleści
wieje płachtami gazet dłoń obdartego gawrosza

jest jeszcze czwartek wieniawa piaski kośminek
podzamcze gdzie puchną z głodu rude żydzięta
dzielnice brudne i ciasne tam idąc codziennie ginę
i skroń przed białą katedrą na zimnych opieram prętach

w dniach narodowych świąt niebo jest jasne jak tlakon
przeciągają od rana orkiestry dęte
błyszczą na słońcu księżom tonsury mosiężne hełmy strażakom
i chodzi z puszkami kilka młodych studentek

wiatr północny rozszumiały okrutnie
tryska z pod ziemi krew i czerwony wypełnia semafor
czekając aż się miasto czerwono zaludni
zwitek papierów i spluwę chowałem za szafą

znowu wieczorem usta parzył powietrza vitrjolej
znów kłuła wzrok nieświadoma znikomość rzeczy
miastem się toczą gwiazdy cekiny piastry obole
to sprawy które są złe a którym nikt nie zaprzeczy

pocóż zaprzeczać dłoniom niosącym spoczynek
wykwitającym jak jaśmin
z rozpaczy mrocznych szacht
do ramion cichej przystani może zawinę
pędzony przez wszystkie morza korsarski jacht

czerwoną banderę miłości wtedy mi podnieść
u drobnych stóp
spocząć stęsknioną kotwicą
rytmem tańczącym weselne powiodą pochodnie
i drobną szalupę szczęścia
między rafami przemycą

jest głupia prawda w złocistem natchnieniu oczu
pieśń nad pieśniami śpiewa natchniony język
jako marynarz
co biciem serca rytm oceanu poczuł
i strząsa z ramion
obcej przemocy więzy

pod strumień czerwony ust
ciało swe nadstaw
uszy przed głosem świata zasłoń muszlami rąk
rozpęknie się z chrzęstem każda ulica miasta
jak ciosem szczęścia rozdarty na dwoje strąk

szumią jesienne kasztany
północ przez palce przecieka

siwym gołębiem świt na zgniłych okiennic deskach
i trwającemu bez snu jedyną prawdą człowieka
słowa wszechwładne jak los
franka franchita francesca

6

ręko wytrwała i groźna
mieszająca glinę gwiazd w sinym kuble
trójkącie nieustępliwy w niebieskiej wysokości
w gorzkiej pomroce mgły
nad blademi łąkami żarży się senny lublin
miasto tragicznej młodości

drzewa nad drogą przystanęły smętnie
nagły i ostry skręt zebrał je w ciemne półkole
tak jakby obok szumem wezbranych tętnic
daleka opowiada się kolej

błyskawica nad ziemią grzmot na spotkanie mi wyszedł
spadają krople niewidzialne niewidzialna ręka nam grozi
wiatr we włosach i serce już słyszy
wybuchy podziemnej eksplozji.

ZENON WAŚNIEWSKI

SZEŚĆDZIESIĄT STOPNI

jedno spojrzenie na film ulicy i piersi rozwala coś młotem
poświata kopuły srebrnej spada chwiejnemi płatkami srebra
pokój i jarzący zielony stożek obwieszony złotem
wystawę najdroższych kamieni i pereł ma najuboższy żebrak

to nie lodowe góry i wichry siekące twarz
biały spokój wisi nawet na gałązce bzu i wyciągniętych linjach
[morse'a
wszystkie poziomy świata grubo nałożony gwasz
biały wciskający się w oczy pożar
ślady czyichś stóp i twoich i ściganego zwierza

pod puchowa powłoką najpiękniejszy z istniejących snów
niebotyczne szklane pyszne blaski na wystrzelonej w niebo wieży
i rytm za ścianą żeber liczący orgje słów

przyjechała najwierniejsza ze wspomnieniami kwadryga
archanioł młodości trzyma za uzdę niewidzialne rumaki czasu
[i cofa przestrzeń
czytasz przeszłość jak świeżo napisany madrygał
i przypływają białym żaglem andersenowskie bajki na północ-
[nym wietrze.

CZESŁAW MIŁOSZ

ŚWITY

Wysoki był dom. W ciemności pełzł wielki mur
nad szelest liści u klonów, nad zamęt pośpiesznych nóg.
Wysoki był dom, światłami nad placem wschodził.
Z sykiem cichym wśród pustych przedświtowych godzin
winda parła przez piętra. Kable szeleściły,
kogut krzykiem w organy deszczowych rynien i rur
dął, aż domem biegł dreszcz. Słyszeli przebudzeni
w ścianach ten śpiew, straszny jak szczęście ziemi.

Już zgrzyta tor. I dzień. I znowu dymy
O, ciemny dzień. Nad nami zamkniętymi
w izbach na piętrze przelatują stada
ptaków szumiących śmiganiem piór.
Za mało. Życia jednego za mało.
Dwa razy żyć chciałbym na smutnej planecie
w miastach samotnych, we wsiach pełnych głodu.
Patrzeć na wszelkie zło, na rozpad ciał
i prawa zbadać, którym był podległy
czas, co nad nami jak wiatr ze świstem wiał.

Chórem zawodzą w podwórzu kamienicy
muzykanci. U okien świecą ręce zasłuchanych.
Ona wstaje ze zmiętej pościeli.
O sukniach i podróżach w swoich snach myślała.
Przed czarne lustro idzie. Młodość krótko trwała,
nie wiedział nikt, że praca dzień rozdzieli
na wielki trud, na martwy odpoczynek
i księżyc w nocy co wiosna przystanie
nad snem znużonych. W stuku ciężkim serc
nam ani wiosna już, ani kochanie.

Uda zasłonić, niech nie wspominają
kłębami cienkich fioletowych żył:
to dziecko goni schodami kamienicy,
to dziecko biegnie siwym trotuarem.
Jeszcze daleko słychać śmiech;
na nowo, wszystko na nowo pozna
i drogą olbrzymią, pustą, mroźną
dzwoniącym grzmotem tętnic obszarem
pójdzie jej dziecko. I wyć będzie czas.
Przed lustrem nago stojąc dwie łzy
lekko wyciera kobieta chusteczką
i farbą przyciemnia brew.

WACŁAW IWANIUK

MIASTO W NOCY

Chichocą za oknami lamp rozkwitłych bluszcze,
pękiem nocy związane w czerwone kagańce.
Miasto, opasane w świetliste różańce,
niza paciorki domów
na nić jasnych ulic.
Miasto parska płomieniem na pastwisko nieba
i ciszę nocy miesza ciepłą grzywą wiatru.
Koń globu, spętany pasmem horyzontu,
karmi się wieczorem jak pachnącym chlebem.

WACŁAW MROZOWSKI

MOWA

Z nieartykułowanych dźwięków
zmontowały cię
wieki
byś tem czem jesteś być mogła.

Ramionami sylab oplotły się nieobliczalne
wyrazy
i trwają w spokojności
i ciszy.

Aż kiedyś wielkim rozkazem
jak manifestem
ktoś ujmie je karbem swej dłoni
aby usłyszeć
mogły ją wszystkie byty.

Będziesz się wtedy nazywała mową
taką jaką wyrzucał
z swej gardzieli
praszczur mój
razem z ociekającym krwią
ochłapem
mięsa świeżego łani.

Dziś tylko ból
dla wszystkich zrozumiały
niesiesz dla mnie.

A kiedyś nazwą cię mową...

ŁUDOMIR RUBACH

POEZJA SERBO—ŁUŻYCKA

Najmniejszy z pośród narodów słowiańskich Serbo-Łużyczanie, cudem nieomal w tysiącletniej niewoli zachowani wśród germańskiego oceanu, pomimo tragicznego położenia potrafili stworzyć własną literaturę, choć niebogatą i w poezji całkowicie wypowiadającą się, niemniej jednak wielkością cierpienia narodowego wielką i dostojną.

Stupięćdziesięciotysięczny naród wieśniaczy, całkowicie żyjący w wioskach, wyspach słowiańskich na ziemiach saskopruskich, wytrwał i trwa nieustępliwie na straconej pozycji zachodniej Słowiańszczyzny pod presją sześćdziesięciomiljonowego narodu niemieckiego. Jedynym bastjonem obronnym jest narodowi temu mowa. Zabraniana, prześladowana, tropiona, żywa jednak, jak sakrament ukochana i święta i jak sakrament głoszona szeptem, gdy wróg nie słyszy. Późno, bo dopiero w ub. stuleciu staje się ona tworzywem wartości literackich. Najlepsi synowie umęczonego narodu poczynają walczyć o zachowanie jego duszy słowem drukowanem i słowem poezji.

ANDRZEJ ZEJER górnołużycki poeta, pracownik na niwie oświaty ludowej, zakłada pierwsze czasopismo łużyckie „Serbskie Nowiny", w 1847 r. dzięki jego inicjatywie powstaje „Macierz Łużycka". Ten nauczyciel ludowy i działacz społeczny jest jednocześnie świetnym poetą. A że poeta łużycki wtedy znajdzie drogę do swego ludu, gdy o lud ten będzie walczył, musi być jednocześnie budzicielem, społecznikiem, ogniskiem, u którego zagrzewa się naród w ciemnej drodze przez niewolę.

Tak swe posłannictwo i zadania twórcze obok Andrzeja Zejera i JAKÓBA DART — CZISZYŃSKIEGO, twórców poezji serbo-łużyckiej, rozumieją ich następcy: Mato Kosyk, J. Skala, Paweł Krejczmar, Jan Lajnert, Józef Nowak i inni. Wszyscy oni opowiadają o cierpieniu swego narodu, zapomnianego przez braci Słowian, o biedzie ukochanej ziemi, o złym losie powoli ginącego połabskiego wieśniaczego ludu.

Jedna z najpiękniejszych książek, jakie wydała Łużyca, Pawła Krejczmara „Raj myśli i snów z łużyckich niw", jest kroniką narodową, nasyconą cierpieniem żywej duszy człowieczej, związanej wszystkiemi więzami istnienia z ziemią, pozbawioną wszelkiej nadziei.

Do poezji serbo-łużyckiej trudno jest stosować miarę naszych pojęć i wymogów artystycznego rzemiosła. Poeci łużyccy nie są w tem szczęśliwem położeniu, w jakiem są twórcy wol-

nych narodów, którzy w dążeniu do doskonałości formalnych mają prawo zamknąć całą swą troskę o wartość dzieła sztuki.

Poeta łużycki jest jak telegrafista na tonącym okręcie, rzucający w kosmos tragiczne „S. O. S." ginącego ludu, któremu świat odmówił na kongresach pokojowych prawa do istnienia.

I tylko ten, komu serce dyktuje miłość i współczucie do zapoznanych braci z pod Budziszyna (tego samego, w którym przed laty dziewięciuset król Chrobry brał pod swą opiekę pradziadów łużyckiego ludu) znajdzie w wierszach poetów łużyckich świadectwo niezniszczalności ducha człowieczego, który pomimo tysiącletniej udręki wierzy niezachwianie w wartość życia i który ustami poety Jana Lajnerta mówi do ciemiężcy: „groź, grzmij, szarp ostatni kęs mego istnienia, mam ja duszę nieśmiertelną i tej mi nie wyrwiesz", bo ona „unosi się ku wyżynom — do morza miłości — do źródeł ludzkości".

Poezja serbo-łużycka nie stwarza nowych perspektyw dla poszukiwaczy formalnej strony piękna, ale zato uczy, czem jest istota cierpienia, czem jest istota... nadziei.

Na zachodzie, nad Łabą, dławione brutalną ręką wroga gaśnie jeszcze jedno ognisko słowiańskiej myśli i mowy, jak już ich tyle pogasło.

Wierzymy, iż jest to ostatnia ofiara naszej rasy, złożona na ołtarzu historji. Niechaj więc iskry z tego ogniska — wiersze poetów serbo-łużyckich, padną do naszych serc i niechaj wyryją w nich znak przypomnienia, że bracia z nad Łaby wierzyli długo, iż od „lechickich pól" raz jeszcze przyjdzie dla nich wyzwolenie.

Każdy bowiem wiersz serbo-łużycki to jakgdyby dokument krzywdy nienagrodzonej, składany na dzień sądu, który ma kiedyś nastąpić.

I przedewszystkiem tak winien być czytany i rozumiany.

JAN SKALA

NIE PODDAWAJ SIĘ

Że nikt z nas nie wie, jakie ma zadanie,
Ów ściga złudy, w czarów wierzy moce,
Inny w swej chacie trawi dnie i noce,
Cóż więc się po nas świadectwem zostanie?

Za kraj gdy mamy iść na bojowanie,
Jeden odważny, a drugi dygoce,
Czyż dni te mogą słodkie dać owoce?
Choć zbroje mamy, nikt nie chwyta za nie!

Precz, marny smutku! Precz! głosie obawy
Naprzód, na wały! Zdobyć ojców miasta!
Słyszycie w sercach radosny zew sławy!

Gniew niechaj szałem w tobie się rozrasta.
Wara, by z mieczem w dłoni cię ujęto!
Umrzyj lub zdobądź serbską ziemię świętą.

Z serbo-łużyckiego spolszczył Ludomir Rubach

JÓZEF NOWAK

PIEŚŃ WOLNOŚCI

(ludowy motyw serbo-łużycki)

Do koła, bracia, do koła wolności,
Zanućmy pieśni czystej radości,
Weselny ranek naszej młodości,
Spiewajmy chwało-śpiew złotej wolności!

Zbożna człowieczeństwa kralo,
Księżniczko, miłości ludów,
Twoją wszechmoc chwalą
Serbowie czekaniem cudu!

Tyś jest nam gwiazdą poranną
W wichrowej groźbami nocy.
Jutrzenka, panienka jasna,
Wywiedziesz nas z obcej mocy.

Do koła bracia, do koła wolności,
Zanućmy pieśni czystej radości,
Weselmyż ranek naszej młodości
Oczekiwaniem wolności!

Z serbo-łużyckiego spolszczył Ludomir Rubach

Przypominamy, że czas odnowić prenumeratę „Kameny" za drugie półrocze (2 zł. 25 gr. — za pięć numerów do 1 lipca r. b.)

Kupujcie i rozpowszechniajcie „Kamenę". Popierając pismo, umożliwicie jego dalszy rozwój.

ALEKSANDER BŁOK

OGRÓD SŁOWICZY

1

Twarde skały oskardem kaleczę,
kiedy morze od brzegów odpływa,
potem ciężar kamienny ów wlecze
zgięty w kabłąk mój osioł poczciwy.
Doniesiemy do stacji i złożym,
warstwa nowa do góry się wspina —
i znów wiodą nas nogi ku morzu
i znów osioł mój krzyczeć zaczyna.
I tak krzyczy i ryczy, radosny,
że ma lekki, beztroski już powrót,
a przy samej tuż drodze rozkoszny
i cienisty rozłożył się ogród.
Z poza muru, co sad ten okala,
róż ponsowych zwieszają się kiście,
niesie śpiewów słowiczych się fala,
coś tam szepczą strumyki i liście.
Osioł zawsze, gdy mija aleję,
głośniej krzyczy przy furtce i czeka,
a w ogrodzie ktoś cicho się śmieje,
i odchodzi, i śpiewa zdaleka.
I wsłuchany w ten śpiew niespokojny,
popędzając wciąż osła, — spostrzegam,
że wybrzeże skaliste i znojne
mgła błękitna już zewsząd zalega.

2

Znojny dzień się dopala bez śladu,
nocny zmierzch pośród krzaków się waży,
a oślisko się dziwi i biada:
— Gospodarzu, i o czem tak marzysz?
Czy to rozum się mąci z gorąca,
czy rozsiewa swe noc niepokoje
i o duszę wciąż moją potrąca? —
Śni się życie mi moje, nie moje....
Na cóż czekam w tej chacie cuchnącej,
smutny nędzarz, wsłuchując się w ciszę,
powtarzając wciąż motyw kuszący,
który-m w sadzie słowiczym zasłyszał?
Tam nie dotrze jęk życia ponury,
popod ścianą ogrodu się kładzie.
W sinym zmierzchu wieczornym za murem
biała postać się snuje po sadzie.

I co wieczór, gdy słońce się stoczy,
popod murem się cicho przemykam,
ona, lekka, mnie wabi i mroczy,
tęsknie wzywa jej głosu muzyka.
Gdy tak pląsa, i śpiewa, i szlocha,
coś dziwnego w mej duszy się budzi
i zaczynam tęsknotę już kochać,
niedostępność słowiczych odludzi.

3

Odpoczywa już osioł zmęczony,
oskard leży na piasku poniechan,
a gospodarz się błąka szalony,
we mgle nocnej szukając pociechy.
I znajomy ten szlak kamienisty,
tajemniczą się stając dziś ścieżką,
doprowadza pod ogród cienisty,
który w siną mgłę, zda się, już pierzcha.
I wciąż dłużej w tej tęsknej niemocy
za godziną się wlecze godzina
i pod rosy ciężarem dziś w nocy
jeszcze niżej rząd róż się ugina.
Kara czeka mnie, czy też nagroda,
jeśli zboczę z mej drogi ostrożnej?
A jeżeli do furtki ogrodu
bym zapukał i spytał, czy można?
I już przeszłość mi zda się nieznana,
nie chcę więcej do pracy już chodzić:
serce czuje, że mile widziany
będę tam w tym słowiczym ogrodzie...

4

No i prawdę mi serce mówiło,
i rozpierzchły się precz niepokoje.
Nie pukałem — i tak otworzyła
niedostępne ogrodu podwoje.
Wzdłuż alei cienistej, wśród lilij
zaśpiewały szmerliwe strumyki,
ogłuszyli ptaszkowie mnie mili
i urzekły mi duszę słowiki.
Obcy kraj nieznajomych rozkoszy
otworzyły jej słodkie oploty
i spadały manele i brosze
głośniej, niźli w snach mojej tęsknoty.
I pijany już winem złocistem,
krwistym ogniem płonący w bezruchu,
zapomniałem o drodze skalistej
i o biednym, cierpliwym swym druhu.

5

Chociaż skryła od ziemskich goryczy
ściana, w różach tonąca dokoła, —
jednak morza, co szumi i ryczy,
pieśń słowicza zagłuszyć nie zdoła!
I śpiew mącą niepokój i trwoga —
pieśń fal bełkot do uszu doniosła...
Wtem — widzenie: ciągnąca się droga
i zmęczony, powolny krok osła...
I we mgle słodkowonnej i znojnej
żarem rąk obejmując me ciało,
pyta, pyta się wciąż niespokojna:
— Co, najdroższy, ach, co ci się stało?
Lecz wpijając się w tuman sieroco,
pijąc rozkosz, choć zatkam swe uszy,
jak łka morze, jak sroży się nocą,
już nie może nie słyszeć ma dusza.

6

Obudziłem się kiedyś zdradziecko,
było mglisto i smutno i wcześnie.
Ona śpi, uśmiechnięta jak dziecko,
pewno ja się przyśniłem jej we śnie.
Jakżeż piękna jej twarz w tym półmroku,
blada w włosów jedwabnej powodzi!..
Po dalekim, miarowym fal kroku
zrozumiałem, że przypływ nadchodzi.
Wtedym okno niebieskie otworzył,
mnie się zdało, gdym wchłonął woń kwiecia,
że wśród ryku dalekich fal morza
krzyk żałosny, rozpaczny doleciał.
Ten krzyk osła, smutniejszy nad wszystko,
przeszył bólem mi serce nawylot
i spuściłem firanki brzeg nisko,
by jej snu nie spłoszyła ta chwila.
I spuszczając się z muru nad rankiem,
zakłóciłem róż śpiących dumanie
i ich kolce jak ręce kochanki
uczepiły się mego ubrania.

7

Droga łatwa i dobrze znajoma,
czemuż nogi mi ciężą jak ołów!
Już widnieje wybrzeże to strome,
gdzie pozostał mój dom i kłapouch.
Ale cóż to, czy w oczach się mieni?
Czylim zbłądził, czy stroi kto żarty?
Nie, poznaję wszak kształty kamieni
i tę skałę i krzak na niej wsparty...

Gdzież więc chata? I nogą zdrętwiałą
o rzucony się oskard potykam,
ciężki, rdzawy pod czarną legł skałą,
piasek mokry go prawie zasypał...
Zamachnąwszy więc ruchem się hardym
(albo może to ciągle mi śni się?)
uderzyłem żelaznym oskardem
o kamienne dno morza, co lśni się...
Wtedy stamtąd, gdzie śpią głowonogi,
w modrej fali kołysząc się blasku,
nagle drapać się krab jął złowrogi
i siadł sobie przy brzegu na piasku.
Gdym się zbliżył, rozstawił swe kleszcze,
gotów walczyć, najeżył się wściekły,
ale drugi wnet zjawił się jeszcze
i zczepiły się wmig i uciekły...
I ze ścieżki, zmierzonej stokrotnie,
tam, gdzie przedtem ma chata w grunt wrosła,
zaczął schodzić z oskardem robotnik,
poganiając obcego już osła.

Z rosyjskiego spolszczył Kazimierz Andrzej Jaworski

KRONIKA SŁOWIAŃSKA

Nakładem ukraińskiego miesięcznika literackiego „Dażboh" ukazał się „Album portretów ukraińskich pisarzy („Albom portretiw ukraińśkych pyśmennykiw" Lwów 1934. Format 25X35) obejmujący 12 drzeworytów Petra Obala z objaśnieniami biograficznemi E. Pełeńskiego.

Samo ukazanie się podobnej pracy na terenie śpiącego Lwowa wywoła żywy oddźwięk, poza tem wstrzyknie trochę wigoru naszym zaśniedziałym malarzom, rysownikom i drzeworytnikom lwowskim, dając asumpt do okazania się nie na ostatniem miejscu. Ujęcie nawskroś realistyczne portretów Obala przy nietyle prymitywnej, ile naiwnej linji i traktowaniu płaszczyzn, przy braku anatomji daje wrażenie niedociągnięć rysunkowych i nie może być poczytywane za drzeworyt ludowy. Brak bowiem tej bezpośredniości i skromności, cechującej ekspresyjne prymitywy, zato przeważa nieskondensowana, bardzo rozmowna linja, położona tam, gdzie niezawsze być powinna i wyrażająca to, czego właściwie powiedzieć się nie chciało. Kompozycje portretowe tylko tłem tłumaczą środowisko i charakter twórczości pisarza, rzucając na pierwszy plan popiersia, które, nie mając pretensji do miana istotnej sztuki, będą mieć zasługę przez chęć spopularyzowania czołowych przedstawicieli literatury ukraińskiej. —zw—

NOTY

WIECZÓR AUTORSKI W ramach Tygodnia Książki Polskiej odbył się w Lublinie 8 grudnia wieczór autorski poetów i prozaików Lubelszczyzny. Recytowane były utwory następujących autorów: B. Leśmiana, F. Arnsztajnowej, J. Czechowicza, K. A. Jaworskiego, A. Madeja, K. Bielskiego, J. Łobodowskiego, J. N. Kłosowskiego, A. Fleszarowej i H. Malewskiej. Wieczór urozmaiciła śpiewem p. Kelles-Krauze. Sala Domu Żołnierza zebrała licznie młodzież i zaproszonych gości.

Słowo wstępne wygłosił prof. H. Jakubanis. Wieczór spotkał się z uznaniem zgromadzonej publiczności, która niejednokrotnie żywo i gorąco oklaskiwała występujących autorów. Być może, iż w życiu kulturalnem Lublina zaczyna się powoli przełamywać dotychczasowa psychoza marazmu i opieszałości duchowej. Oby tak było! — am —

BOGATY 11-Y NUMER „DROGI", poświęcony w całości pamięci Cyprjana Norwida, zamyka niejako rok jubileuszowy poety i stanowi ważny przyczynek do zbliżenia i uwspółcześnienia inteligencji polskiej autora „Czarnych i białych kwiatów". Ciekawy zeszyt zawiera drukowaną po raz pierwszy komedję Norwida „Miłość czysta u kąpieli morskich", dwa listy poety, artykuły K. Kosińskiego, S. Kołaczkowskiego, R. Kołonieckiego, W. Horzycy, W. Arcimowicza, K. Wyki, K. Jaworskiego, K. W. Zawodzińskiego, M. Kridla, T. Makowieckiego, nowelę S. Flukowskiego „Ocean", wiersze S. R. Dobrowolskiego, J. Przybosia i J. Czechowicza oraz przegląd książek o Norwidzie.

NUMER DRUGI „ŻAGARÓW" zawiera wiersze Miłosza, Mikułki, Putramenta, Bujnickiego i Rymkiewicza, przekład parodyj Prutkowa, oparty na cytatach artykuł Szredera i Maślińskiego „Brzozowski o Marksie i marksistach", artykuł A. Nowiny (A. Łuckiewicza) „Główne kierunki poezji białoruskiej", zagajenie dyskusji „Panowie spokojniej" F. Maślińskiego, kroniki sowiecką, białoruską i żydowską oraz działy stałe. Pozycja pisma rzeczowa i pożyteczna.

NUMER TRZECI „LEWARA" w porównaniu z pierwszym (drugiego nie otrzymaliśmy) świadczy o rozwoju pisma. Wyróżnia się reportaż W. Opatowskiej „Szczotki" i feljeton S. Priacela „W poszukiwaniu teatru", wiersz Timofiejewa „Jesień" i cięte noty „Konkurs piękności". Artykuł wstępny nie wydaje nam się taki zasadniczy. Najważniejsze jest jednak, co i jak się pisze, a mniej doniosłe, gdzie się drukuje, wyłączając oczywiście brukowce i prasę sprzedajną. Na plus „Lewara" zapisać należy oświetlanie teroru hitlerowskiego i rozpisanie ankiety w sprawie procesu o podpalenie Reichstagu.

W NR. SZÓSTYM POZNAŃSKIEGO „PROMU“ należy zwrócić uwagę na artykuł K. Treczyńskiego „Thomas Mann“, impresję E. Herberta „Dziesięć minut przed przyjazdem pociągu Warszawa—Zakopane“ oraz przekłady S. Napierskiego, J. Ulatowskiego i W. J. Kapuścińskiego ze współczesnej poezji niemieckiej. Wiersze oryginalne są naogół słabsze. Najciekawszy przydługi „Naprzełaj“ E. Morskiego z wybitnym wpływem jesieninowskim. Dlaczego właściwie „Prom“, którego w r. 1933 wyszły tylko dwa zeszyty, nazywa się „miesięcznikiem“?

SYGNAŁY— ten ładny tytuł ma lwowski miesięcznik literacki, którego pierwszy numer ukazał się w listopadzie ub. r. Pismo pod względem graficznym przedstawia się wcale estetycznie. Treść narazie bezbarwna. Ale ukazanie się „Sygnałów“ w śpiącym Lwowie świadczy o ambicji młodzieży literackiej i chęci podtrzymania upadającej tradycji w grodzie Ujejskiego, Fredry i Staffa. Oby jednak te „Sygnały“ w dalszych numerach zabłysnęły światłem jaśniejszem. (Mała uwaga: „Chełmno Lubelskie“, w którem wychodzi „pismo Kamena, mające charakter wybitnie (?) regjonalny“, jest nam geograficznie bliżej nieznane.)

„W DRUGIEJ OSOBIE“ Jana Brzękowskiego to nowy zbiór wierszy teoretyka awangardy krakowskiej. Ciekawie oglądać zastosowanie zasad, głoszonych przez autora „Poezji integralnej“, i stwierdzić, o ile Brzękowski pozostaje im wierny. Książka składa się z trzech części. W pierwszej najciekawsze wiersze: „Paryż po wakacjach“ (z trafną przenośnią „lampy w wacie mgły“, ze zbyt łatwem może zestawieniem „blada jak lilja Liljana Gish“ i jednak ze zwalczaną pointe'ą) „Gabinet zbrodni“ oraz duszny, pełen egzotycznej perwersji utwór „Elephantiasis“. Spiętrzone aliteracje w „Chabrach“ rażą sztucznością. W drugiej części wyróżnia się przedewszystkiem pisana jednak w pierwszej osobie „Autobiografja“. I brak w niej peiperowskiego „wstydu uczuć“ wcale jakoś nie razi. „Dzień po dniu“ daje przerażającą wizję koszmaru powszedniości. Ciekawe „Pronunciamento“ zazębia część drugą ze społeczną trzecią („student joachim gorączką prażony jak ruszt“ — czyż zawsze gruźlica ma iść w parze z rewolucją? — vide Kurek, Czuchnowski). Stosunek poety do „pronunciamento“ jednak nieszkodliwy, rzekłoby się — tuwimowski (omal nie „chamjo“!) — mówca na „Wiecu“. to „płatny agitator“, „tłusta krasomówcza rzyć“, jest i „gniew bezrobotnego brzucha“. Ale piękno „Gwiazd nad więzieniem‘ i charakterystyczna „Czerwień snów“ rozgrzeszają Brzękowskiego. Zbiorek, wnoszący do poezji awangardowej ważki dorobek, zamyka ładny i znamienny wiersz „Praca o zachodzie“.

Format książki niewygodny i niecelowy. Grafika nieuzasadniona.

Brak konsekwencji w stosowaniu interpunkcji. Rysunków Hansa Arpa nie będziemy snobistycznie chwalić. Przyznamy się, że ich nie rozumiemy. — kaj —

PRO URBE SUA

ŻYCZENIA NOWOROCZNE

Mówiąc stylem pewnego lokalnego organu, „okazała się w całej pełni prawda: minął już rok 1933". Czegoż w roku bieżącym tysiącom swoich chełmskich prenumeratorów i czytelników „Kamena" ma życzyć? Przystępując do gratulacyj noworocznych, chcielibyśmy przedewszystkiem powtórzyć za tytułem pewnego artykułu: „Nie powtarzajmy błędów przeszłości", a więc błędów minionego roku. Kto? My wszyscy. Jakich? Różni różnych.

Piszmy zrozumiale. Zarzucano „Kamenie" mętność niektórych zwrotów. Że „po niebie chodziła Marysia z liljami". Że „nocny stróż ulicę wdycha na jedwabny wąs". Że „pożera nas cisza uroczysta jak lato i jak lak". W takich wypadkach zwykliśmy się tłumaczyć awangardowością, twierdząc, że co dla laików jest ciemne, dla poety jest „proste jak byk na żółto". Ale jak się to ma sumitować nie miesięcznik literacki, ale „demokratyczny tygodnik regjonalny", w którym czytamy takie oto wyznania wobec „P. T. Czytelników": „*W* ostatnim №.... wkradł się cały szereg błędów drukarskich, *czem* naraził P. T. Czytelników (kto? co?) na trud odtworzenia *zamierzonych* (?) myśli". To już nie „byk na żółto", lecz zwyczajne uczniowskie „byki".

A więc piszmy zrozumiale. I bądźmy praktyczni jak właściciel kina, który dopóty nie wpuścił montera i dekoratora na scenę, dopóki mu dyrektor teatru nie zapłacił zgóry 120 zł. za nieopaloną salę. Bądźmy trzeźwi jak tenże przedsiębiorca, który ze słusznej obawy, by poezja nie wystraszyła mu publiczności z kina, nie pozwolił w czasie Tygodnia Książki Polskiej wygłaszać w przerwach między seansami krótkich przemówień okolicznościowych, połączonych z recytacjami.

I nie oddawajmy się niezdrowym marzeniom, jak pewne pismo literackie, które obliczało: „na trzydzieści tysięcy mieszkańców, choć pięciuset nasze szpalty przejrzy, choć setka uważnie przeczyta, choć pięćdziesięciu egzemplarz nabędzie". Tych pięciuset czyta „Ostatnie Wiadomości", ta setka pochłania „Tajnego Detektywa", tych pięćdziesięciu nabywa „Tempo Dnia".

A więc żywszego tempa, panowie i panie! Przy brydżu, plotkach i foxtrocie.

ŁUCKI TEATR IM. SŁOWACKIEGO pod dyrekcją A. Rodziewicza dał w grudniu dwie premjery: „Otella" Szekspira i „Gałganka" Nicodemiego. W „Otellu" wyróżniła się subtelna kreacja Desdemony — Łuczyckiej. W pogodnej komedji Nicodemiego koncertowo odegrali główne role A. Rodziewicz i K. Sarnecka.

Z numerem bieżącym zamykamy pierwsze półrocze „Kameny". Wbrew przewidywaniom niektórych osób, że pismo upadnie po ukazaniu się dwóch — trzech numerów, „Kamena" wychodzi regularnie i będzie wychodziła nadal. Z przykrością jednak stwierdzić musimy, że w miejscu wydawania pisma, t. j. w Chełmie, „Kamena" cieszy się najmniejszą poczytnością, nie doznając poparcia ze strony miejscowej inteligencji. A no widać miał słuszność pewien krytyk, notując: „to, że pismo wychodzi w Chełmie, jest tylko przypadkiem". Istotnie, jest przypadkiem o tyle, o ile jest nim fakt, że wydawcy „Kameny" mieszkają w tem mieście.

TROCHĘ O KURTUAZJI: a) Jest przyjęty między pismami zwyczaj wzajemnej wymiany egzemplarzy. Rzecz traktuje się nie jako kalkulację kupiecką: za miesięcznik takiej a takiej objętości — tejże grubości miesięcznik, lecz jako obopólną wygodę lub akt pewnej uprzejmości, która każe nam w życiu naprzykład na wizytę odpowiedzieć rewizytą. „Kamena" rozsyła szeregowi czasopism egzemplarze recenzyjne i zamienne, przeważnie otrzymując za to odpowiednie publikacje i oceny lub wzmianki w rubryce pism nadesłanych. Nie wszystkie jednak pisma przestrzegają tego literackiego savoir-vivre'u. Nie dziwimy się ostatecznie, gdy dwa wielkie tygodniki literackie w Warszawie nie nadsyłają nam egzemplarzy zamiennych, uważając pewno, iż to się nie opłaca (ilość papieru nierówna) i zaznaczając w ten sposób pewną wyższość w stosunku do „prowincji" literackiej. Ale co najmniej oryginalnem wydać się musi, gdy pewien miesięcznik literacki w Krakowie, otrzymujący „Kamenę", zamieszcza nawet o niej krytyczną wzmiankę, ale nie uważa za stosowne zrewanżować się przysyłaniem swych egzemplarzy, a pewna dekada warszawska, która sama zaproponowała „Kamenie" wymianę pism, nie nadesłała dotąd żadnego.

b) Kilka pism, otrzymujących „Kamenę", nietylko nie zamieściło o niej żadnej wzmianki, o co zresztą trudno mieć pretensję, ale przemilcza jej istnienie nawet w rubryce pism nadesłanych. Pewne urzędowe pismo lubelskie, które zamieściło w dziale nieurzędowym wzmiankę nawet o numerze 21-ym „Kobiety w świecie i w domu", zawierającym „artykuł o szlafrokach, kolorowe plansze mód i liczne rysunki", nie zauważa

d) Ale warto zanotować i przykład wersalskiej uprzejmości, niestety nie z polskiej strony. Od poselstwa czecho-słowackiego w Warszawie otrzymaliśmy cenne pismo treści następującej: „Poselstwo Republiki Czechosłowackiej w Warszawie dziękuje za nadesłanie ostatniego numeru czasopisma, w którym opublikowane jest doskonałe studjum p. Antoniego Madeja „Współczesna liryka słowacka" oraz szereg dobranych i pięknych przekładów poetów słowackich. Poselstwo z zadowoleniem przyjmuje do wiadomości to zainteresowanie czasopisma literaturą czechosłowacką wogóle a słowacką w szczególności i ceni bardzo te dążenia, gdyż właśnie zbliżenie kulturalne jest najlepszem przygotowaniem i drogą do poznania i prawdziwego zbliżenia obu narodów i państw".

ODPOWIEDZI OD REDAKCJI:

JAKOR w Chełmie. Z nadesłanych poezyj zatrzymujemy w tece wiersze orjentalne. Chętnie zapoznalibyśmy się z większym wyborem utworów. Za życzenia dziękujemy.

P. N. S. w Łucku. Wiersze Pani zdradzają wybitny wpływ Pawlikowskiej. Narazie nie nadają się do druku. Ale warto pracować.

P. K. M. w Lublinie. Adresu nie znamy. Zapewne „Wiadomości Literackie" udzieliłyby informacji.

P. W. R. w Równem. Cieszymy się, że Panu podobają się wiersze Łobodowskiego. Dokończenie „Nocy Lubelskich" znajdzie pan w tym numerze. „Wybór poezyj" Jesienina nabyć można w redakcji „Kameny".

P. S. W. w Równem. Prenumerata „Kameny" wynosi 4 zł. rocznie za 10 numerów. Rok liczy się od 1 września do 1 lipca.

PISMA I KSIĄŻKI NADESŁANE:

CZAS — Kraków — Warszawa. BIULETYN POLSKO-UKRAIŃSKI № 31—35, Warszawa. DAŻBOH № 9, Lwów. MY № 1, Warszawa. SYGNAŁY № 1, Lwów. FRONT TEATRALNY, Wilno. LEWAR № 3, Warszawa. DROGA № 11, Warszawa. ZET № 17 — 18, Warszawa. ŻAGARY № 2, Wilno. WOLNOŚĆ SUMIENIA № 1, Tomaszów Lub.

Jan Brzękowski: W drugiej osobie, Bibljoteka a. r. t. 4.

Bohdan Krawciw: Sonety i strofy, Lwów 1933.

Adam Znamirowski: Wir perspektyw, Warszawa, Geb. i W. 1933.

Krystyna Grzybowska: Na marginesie dwóch dramatów Słowackiego, Kraków, Bibljoteka Czasu, zesz. 7.

„Kamena" jest jedynem pismem literackiem